POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik

Nr 2(42) WARSZAWA 1962

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

Edward Szymański, *Walka Konga o niepodległość w latach 1958—1960* 107
Tadeusz Żbikowski, *Czterdzieści lat nowej poezji chińskiej* 119

*

Grażyna Spychalska-Wilczurowa, *Stanisław Franciszek Michalski* 129

Stefan Stasiak, *Hymny Rgvedy w przekładzie Stanisława Franciszka Michalskiego* 134

Nowe przekłady *Rigwedy*: *Do Indry* (1.32), *Do Jutrzenki* (1.123) — (z wedyjskiego przełożył St. F. Michalski) 137

UTWORY LITERACKIE

Waża Pszawela, *Skarga sarenki* (z gruzińskiego przełożył Mikołaj Matikaszwili) 143
Adnan Veli, *Ofiarowanie na górze Jusza* (z tureckiego przełożył Zygmunt Abrahamowicz 147

Z PRAC DZIAŁU DOKUMENTACJI I HISTORII ORIENTALISTYKI ZO PAN

Jan Reychman, *Nowe przyczynki do dziejów zainteresowań Hafizem w Polsce na początku XIX wieku* 153
Zofia Piedos, *O materiałach jakuckich Adama Szymańskiego w zbiorach Archiwum PAN w Warszawie* 158

MATERIAŁY I NOTATKI

Beniamin Nadel, *Pochodzenie i wczesne dzieje Adygów* 165
Bogdan Składanek, *Konferencja Filologów Iranistów w Leningradzie* (24.—27.I.1962) 170
Edward Tryjarski, *Z wizytą u Ormian bułgarskich* 173

RECENZJE

Z KSIĄŻEK
A. Bińkowski, Podróż za rzekę Amu (Jan Reychman) 175
Jörg Kraemer, Das Problem der islamischen Kulturgeschichte (Franciszek Machalski) 176
К. Озаки. Новый японский театр (Mikołaj Melanowicz) 177
Японская Литература (Mikołaj Melanowicz) 179
Girdowaranda M. Foziłow, Pandu hikmatho (Franciszek Machalski) 181
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE 182

KRONIKA

Z ruchu naukowego na polu orientalistyki
Sprawozdanie z działalności Sekcji Orientalistycznej Komitetu Nauk Filologicznych PAN za rok 1961 191

WAŻA PSZAWELA

SKARGA SARENKI

Poeta, dramaturg, publicysta, krytyk literacki i prozaik Waża P s z a w e l a urodził się 14.VII.1861 r. w małej gruzińskiej górskiej wiosce Czargali w dzielnicy zwanej Pszaweti. Stąd pseudonim literacki „Pszawela", bowiem właściwe nazwisko brzmi R a z i k a s z w i l i.

Rozgłos swój Waża Pszawela zawdzięcza twórczości poetyckiej, a szczególnie poematom epickim, w których opisuje surowe zwyczaje i pełne poświęcenia i bohaterstwa życie górali gruzińskich. Tematy do poematów czerpał Waża z pięknych legend góralskich, z zamierzchłych czasów.

Spośród poematów najbardziej wybijają się *Gogotur i Apszyna*, *Aluda Ketelauri*, *Bachtrioni*, *Gość i gospodarz*, *Żmijojad* i inne. Są one prawdziwymi perłami poezji gruzińskiej.

Skargę sarenki napisał poeta dla dzieci na prośbę grona kobiet redagujących pismo dziecięce. Jest on również autorem wielu innych ciekawych opowiadań i bajek.

Poeta zmarł w r. 1915. Pochowany jest w Panteonie dla wybitnych pisarzy gruzińskich na Górze Dawida w Tbilisi.

M.M-i.

*

Maleńka jestem, sierota, sama jedna na świecie i bardzo nieszczęśliwa. Lekkie futerko w kropki o krótkich włosach ledwo mnie grzeje, a małe rogi nie dają obrony. Chodzę jak zbłąkana. Mam okrwawione nogi i pokaleczone kopyta. Uległam bowiem wypadkowi podczas wędrówki do wąwozu po wodę. Serce łopocze mi bez przerwy..., nie mogę się uspokoić.

Póki żyła kochana moja matka nie musiałam się bać. Byłam pieszczona i nie czułam głodu. Co ja teraz pocznę, biedna sierota? Tak bardzo brak mi matczynej opieki. Rano i wieczorem już nie gaszę pragnienia mlekiem mojej rodzicielki, lecz muszę zlizywać rosę z traw i krzewów. Jednak najgorszy jest ten strach — wielki i okrutny. Zdaje mi się, że zewsząd chyha na mnie śmierć.

O potężny, piękny lesie, ile my, małe sarenki, mamy wrogów? Przed chwilą wyszłam na skraj polanki, gdy naraz coś zagrzmiało nade mną. Spojrzałam przerażona w górę. Ogromny ptak szarobrązowy, z otwartym dziobem i złożonymi skrzydłami leciał wprost na mnie. Szybko, jak najszybciej uskoczyłam w gąszcz leśny. Ptak opadł jak strzała i zamiast we mnie wbił się szponami w jeżyny i szuwary. Żółtokrwawymi

oczyma rozglądał się wokoło, dyszał ciężko w bezsilnej złości i uderzał z hukiem skrzydłami o ziemię. Schowana za drzewo przyglądałam mu się z drżeniem w sercu.

Dzięki ci, potężny i piękny lesie. Gdyby nie ty, już dawno nie było by po mnie śladu. Za dużo wrogów. Czasami myślę, że nie uniknę wczesnej śmierci. Jestem taka bezbronna, a doświadczenie moje niewielkie. Tydzień tylko spędziłam u boku kochanej mateczki. Trudno opisać jak było przy niej dobrze i bezpiecznie.

Mieszkałyśmy tam, na lesistej górze, z której spływa pełno wąwozów. Niedostępnej naszej kryjówki strzegły cienie gęstych drzew. Tylko niekiedy dobra mateczka nastawiała uszu. Patrzyłam na nią i starałam się postępować podobnie. Pilnie strzygłam swoimi małymi uszkami. Trzy razy doleciały nas jakieś odgłosy, nie będące ani szeptem strumyka, ani szelestem rozkołysanych wiatrem liści. Nie podobne też były do miarowego stukania dzięcioła, do odgłosu spadającej gałązki i wesołych figlów drozda, bawiącego się beztrosko wśród wierzchołków drzew. Mama ile razy posłyszała ten odgłos, mówiła cichutko: biegnij za mną. Uciekałyśmy co sił. Nie rozumiałam wówczas celu tej ucieczki, ani nie wiedziałam dlaczego tak pędzimy.

Teraz wiem. Powodem naszej szalonej ucieczki był człowiek. Straszny, bezlitosny człowiek, ten sam, przez którego nie mogę cieszyć się chłodem wietrzyka i spokojnie skubać zielonej trawki. Och, jakim lękiem przejmuje mnie każde spotkanie z człowiekiem! Śmiertelnym wrogiem jest dla nas człowiek — chociaż nie jedynym.

Przedwczoraj padał deszcz. Piękna moja matka stała pod rozłożystym bukiem i poważnie przeżuwała pokarm. Tuliłam się do niej. Czułam ciepło jej ciała. Deszczowa woda srebrzystymi nićmi miarowo uderzała o liście drzew i krzewów. Wystawiłam główkę, by ochłodzić się zimnymi kroplami.

— Dobrze ci, dziecko? — pytała mama.

Odpowiedziałam mrugnięciem oczu, skakałam i z radości bodłam ją w piersi. Przed nami, po uschniętym drzewie przechadzał się dzięcioł i tak mocno wystukiwał ostrym dziobem, że nie mogłam się nadziwić, jak taki mały ptak może robić tyle hałasu. Wtem posłyszałam z boku: czyki, czyki. Obejrzałam się. Nad nami krążył jakiś ptak.

— Schowaj się, bo oczy ci wydłubie — powiedziała trwożliwie matka.

Przylgnęłam do jej ciała, a ona prędkimi ruchami odpędzała drapieżnika. Długo napastliwy czchikwi usiłował mnie dopaść. Wreszcie dał spokój. Usiadł na gałązce potężnego buku i począł kwilić. Głos jego, przeciągły i zawodzący, do złudzenia przypominał moje kwilenie. Poczciwa matka dobrotliwie mnie pouczała:

— Nie odpowiadaj nigdy na głos ptaka czchikwi, który wydłubuje oczy małym sarenkom, zwabiając je podstępnie niewinnym zawodzeniem.

Wstrząsnęło mnie dreszczem, nie mogłam pojąć przewrotności ładnego czchikwi.

Pewnego razu w czasie wielkiego upału matka podniosła się z legowiska i pociągnęła mnie za sobą do źródełka. Puściłyśmy się ścieżkami, znanymi tylko mieszkańcom lasu, w głąb stromego wąwozu. Nie dochodził tam żar promieni słonecznych. Korzenie drzew tworzyły gęstą pajęczynę, pod korzeniami sączyła się lodowata woda, a w niej przeglądały się liście łopianu i konary grubych drzew. Zimna i czysta jak kryształ woda płynęła wartko po kamiennych płytach, a napotkawszy na większe skały, pięt-

rzyła się wysoko. Matka chłodziła się w srebrzystej wodzie. Ja stąpałam z trudem tak bolały mnie kopyta.

— Stań przy mnie w wodzie, bardzo tu przyjemnie — doradzała matka.

Wsunęłam jedną nogę w wodę i odskoczyłam.

— Oj, zimna, nie mogę mamo — wykrztusiłam zdławionym głosem.

— Nie bój się dziecko — tłumaczyła matka — to tylko pierwsze wrażenie.

Powtórnie weszłam w wodę; po chwili wydała mi się zaledwie chłodna.

— Wracajmy, bo słychać stąpania — rzekła matka, rzucając ostre spojrzenia w stronę odgłosu. — Nie bój się — szepnęła mi po chwili do ucha — to kobieta z dzieckiem. Samotne kobiety z dziećmi nie ruszają sarenek. Ostrożność jednak nie zawadzi, chodźmy podszyciem leśnym.

Nie posłuchałam dobrej mateczki. Ciekawość była silniejsza. Chciałam dokładnie zobaczyć chłopczyka, małe ludzkie dziecko. Podskoczyłam na skraj lasu i wyjrzałam jednym okiem zza ogromnego drzewa. Wtem ktoś przeraźliwie krzyknął:

— Mamusiu, wilk, mamusiu! O, jakie straszne uszy sterczą zza tego drzewa!

Maleńki chłopczyk pokazywał w moją stronę.

— Kochany, to nie wilk, to mała sarenka. Jaka ona piękna! — zachwycała się kobieta.

— Złapmy ją mamusiu, złapmy! — pokrzykiwał chłopczyk i chciał już biec w moją stronę.

— Nie, najdroższy, szkoda! Jest taka śliczna i pewnie bardzo kochana przez swoją matkę; zostawmy ją na wolności.

Pochłaniałam ze wzruszeniem te słowa, pełne współczucia, a serce biło mi szybko z radości. Słuchałabym i dalej, gdyby nie matka. Skarciwszy moją lekkomyślność, rzekła:

— Nie wierz im. Oni naprowadzą na nasz ślad myśliwych.

Czyżby biedna moja matka przeczuła, że koniec jej jest bliski?

Pędziłyśmy zboczem wąwozu, brnęłyśmy w zaroślach, byle dalej od niebezpieczeństwa. Dokuczliwy skwar zmusił nas do odpoczynku w cieniu szerokolistnych „dzarnauki". Wtem zza gór wypełzły czarne chmury. Rozpętała się burza. Z hukiem i oślepiającym blaskiem pioruny biły bez przerwy. Potoki deszczu spływały lawiną. Zbocza gór zagrzmiały szumem wodospadów i wezbranych strumieni. Echo, odbijające się od gór, potęgowało jeszcze bardziej piekielną grozę. Ptactwo przestało ćwierkać. Groźny czchikwi, mój prześladowca, siedział teraz skulony na gałązce, oczy miał przymknięte, skrzydła zwisały mu bezradnie, a z dzioba spływała struga wody. Tuż obok tulił się do czchikwi piękny ptaszek z czerwonym podbrzuszem, a nieco dalej gabua i kapneti. „Cirip, cirip" — płaczliwie pojękiwała ta ostatnia, a tak żałośnie i przejmująco, że odważny czchikwi popadł w wielki lęk.

Nagle błysnęły jasne promienie słońca. Zbudzona przyroda odezwała się świergotem ptactwa. Spłukana trawa nęciła świeżością. Z dołu ozwał się śpiew fujarki. Pod nami, na szerokiej polanie stado baranów skubało soczystą górską trawę. Młody pastuch siedział na wzgórzu z fujarką w ustach, obok niego przykucnął pies, uważnie pilnujący stada.

— Oj, niedobrze — powiedziała matka — wprawdzie pastuszek bezbronny, ale ten pies... gdy zwącha popędzi za nami.

Ledwo skończyła mówić, pies nastawił uszu, zaskomlał i puścił się ku nam.

— Schowaj się, czekaj, wrócę do ciebie — mówiła matka wyskakując na spotkanie psa.

Pies rzucił się na mamę. Zdrętwiałam ze strachu, łzy zasłoniły mi oczy, a serce zamarło. Długo słyszałam odgłos gonitwy i walenie się kamieni spadających w dół. Zaczęło się zciemniać. Wraz z szarą powłoką, opasującą góry, w duszę moją wstąpił paniczny lęk o życie matki. Czekałam w wielkiej trwodze. Ze stada dochodziły pobekiwania i ostry gwizd, z trudem zrozumiałam, że dzień się kończy i pastuch przygotowuje stado do zejścia w dolinę. Niebawem na głos swego pana wybiegł z lasu potworny chursza. Psu zwieszał się z pyska ogromny czerwony ozór.

— Może na tym obrzydliwym, czerwonym języku jest krew mojej matki — myślałam gorączkowo. — O, matko, gdzie jesteś, czy żyjesz?

Ciche muczenie, przywróciło mi życie i radość, poznałam głos matki. Nie zapomnę nigdy pocałunków i pieszczot, jakimi wtedy mnie obsypała. Niestety nigdy już więcej nie zaznam jej miłości. Całą noc spędziłyśmy na przechadzce, radując się wspólnym istnieniem. Przed świtem, blade słońce lekko różowiło korony leśnych olbrzymów i zgiełkliwe roje ptactwa pożywiały się słodkimi czereśniami, gdy matka zauważyła głębokie ślady, jakie pozostawiałyśmy na świeżej rosie.

— Strzeżmy się, wypatrzą nas — powtarzała szeptem, trwożliwie.

Były to ostatnie słowa mojej matki. Zbliżyłyśmy się do smukłych świerków, do wysokich i zwartych brzóz. Nagle jak piorun rozdarł ciszę strzał. Echo wystrzału obleciało wąwozy i góry, poruszyło liście na drzewach i rozkołysało trawy. Matka jęknęła tylko i padła:

— *Wajme*[1]! Biada mi. *Wajme*!

Zza brzóz wyskoczył młody mężczyzna w brązowej czerkiesce i z okrzykiem „triumfu" pobiegł ku matce. Schowałam się. Napróżno próbowała powstać — biedna moja matka — unosiła się i znów opadała. Widziałam błyszczący kindżał, dużo, dużo czerwieni, widziałam wszędzie krew. Potem, gdy przyszłam do siebie, matki już nie było, tylko krew i ślady umierającej. Stałam sama długo, płakałam i skarżyłam się górom, źródłom i strumieniom, słońcu, niebu i drzewom. I wiem, że będę płakać, męczyć się i bać, aż i mnie pozbawią życia, które jest piękne — jak moją kochaną matkę.

Z gruzińskiego przełożył
Mikołaj Matikaszwli

[1] W a j m e — biada mi!